

# W różnych tonacjach

JEDNA z najwybitniejszych inscenizacji ostatniego okresu było niewątpliwie wystawienie dramatu Augusta Strindberga pt.: „Ojciec”. Może, na wstępie, parę słów o autorze, który nie jest zbyt znany naszej współczesnej publiczności. Strindberg urodził się w roku 1849, szczyt jego twórczości przypadł na barwny, beztroski okres fin de siècle'u; okres bez wojen, okres szybkiego bogactwa się, skandali obyczajowych, zawziętych intryg politycznych, afer gospodarczych w wielkim stylu, okres kankana, a jednocześnie pruderi, purytanizmu i nędzy. Strindberg szokował współczesnych nie tylko twórczością, lecz również swoim życiem osobistym, które dla jego obyczajnych rodaków szwedzkich było jednym wielkim skandalem. Pisał dramaty i powieści. Wśród tych pierwszych ślawnie ugruntowały „Sonata widm”, „Panna Julia” i „Eryk XIV”. Dramat „Ojciec” uchodzi za szczytowe osiągnięcie pisarza. Wśród powieści największą poczytność zdobyło „Inferno”.

Strindberg jest pisarzem trudnym. Zrozumienie jego twórczości wymaga poważnego wysiłku intelektualnego. Jednocześnie jednak zmusza widza do refleksji, do wyciągnięcia wniosków, do obrania pewnej postawy życiowej. Twórczość Strindberga nie należy również do twórczości pogodnej. Jego utwory przepełnione są melancholią, pesymizmem, penetrowaniem skrytych zakamarków duszy ludzkiej. Jest również w utworach Strindberga jakaś — powłóczyłbym — chorobliwa niewiara w szlachetność i uczciwość (w najszerszym tego słowa znaczeniu) człowieka. Zwycięza z reguły — dobroć i szlachetność przegrywa.

„Ojciec” jest utworem bardzo reprezentatywnym dla Strindberga. Treścią dramatu jest walka kobiety i mężczyzny — żony i męża — o dziecko. Kobieta chce zatrzymać dziecko przy sobie. Mężczyzna chce zapewnić temu dziecku naukę, przyszłość — nazwijmy ją „z perspektywami”. Nie docenia jednak dia-

bolicznych zgoła zdolności intryganckich swojej żony. Walka kończy się jego całkowitą klęską, łącznie z fizycznym unicestwieniem.

Dobrze się stało, iż telewizja udostępniła największemu polskiemu audytorium teatralnemu twórczość wielkiego szwedzkiego dramaturga. Być może, iż dzisiaj patrzymy inaczej na te konflikty, które były treścią sztuk Strindberga. Dziś tego rodzaju „walka o dziecko”, a przynajmniej walka prowadzona przy pomocy takich metod i z takim finałem, jakie przedstawił Strindberg, byłaby czymś mało prawdopodobnym. Nie umniejsza to jednak walorów sztuki. Śledziliśmy z napięciem rozwój akcji.

Do sukcesu sztuki w pełni przyczyniła się obsada aktorska, w pierwszym rzędzie Zofia Mrozowska w roli żony. To było naprawdę znakomicie zagrane! Mrozowska uniknęła licznych raf, czyhajacych na odtwórczynię tej właśnie roli. Była diaboliczna nie w jakiejś afekcji, lecz w zimnym, bezlitosnym wyrachowaniu. Osaczała swego nieszczęsnego męża w sposób kunsztowny, a jednocześnie skuteczny. Taka interpretacja była najbardziej przekonująca. Każda przesada, każde przerysowanie tej roli doprowadzić by musiało do osłabienia siły aktorskiego wyrazu.

W roli Rotmistrza ujrzelśmy Andrzeja Łapickiego. Chwilami był porywający, chwilami nieprzekonywający. W każdym razie zabrakło w tej roli konsekwencji. Łapicki zagrał, oczywiście, dobrze. Inaczej nie potrafił. Ale była to gra tylko poprawna.

W pozostałych rolach uwagę zwracali Henryk Bąk i Jerzy Kaliszewski. Reżysera — Marii Wiercińskiej — bardzo dobra. Scenografia Otto Axera znakomita. Jakże to smutnie, iż w tym właśnie wypadku nie powierzono scenografii jakiegoś eksperymentatorowi, który — zamiast mieszczańskiego wnętrza z końca XIX wieku — zademonstrowałby nam jakieś kotary w abstrakcyjne wzory, lub coś w tym rodzaju...

D RUGA premierą godną uwagi (choć nie reprezentująca zupełnie odmienny genre) był wypróbowany, niezawodny „Żołnierz królowej Madagaskaru”. „Żołnierza” widzieliśmy kilkakrotnie (w innej wszelako obsadzie i reżyserii) w telewizji, widzieliśmy na deskach teatralnych, widzieliśmy w kinie. Ta farsa zdobyła sobie ogromną popularność. Napisał ją przed 88 laty Stanisław Dobrzański, człowiek znający znakomicie teatr, autor dość licznych fars i komedii. Przed 31 laty do „Żołnierza” zabrał się Julian Tuwim. Nie tylko „otrząpał z kurzu” tę — tracącą już myśl — farsę, lecz rozwinął pewne wątki, dopisał kilka scen, opracował dialogi i dodał piosenki. „Żołnierz” świetnie wyszedł na tej kuracji odmładzającej. Powstała właściwie nowa farsa, która po dziś dzień cieszy się niesłabnącym powodzeniem, chociaż różne typy z „Żołnierza” zniknęły już bezpowrotnie z naszego życia. Miara popularności „Żołnierza” może być choćby fakt, iż rozpaczliwy okrzyk bohatera farsy: „Mazurkiewicz, bój się Boga!” przeszedł do codziennych powiedzonek. A powtarzający

to powiedzonko nie zawsze wiedzą, gdzie się narodziło.

„Żołnierz królowej Madagaskaru” ma wspaniałe tradycje aktorskie. Grał w „Żołnierzu” Mira Zimińska, grał niezównany Ludwik Sempolński, grała cała plejada polskich aktorów i aktorek. Ostatnia inscenizacja nie pozostała w tyle. Zobaczyliśmy doskonałych wykonawców, a wśród nich przede wszystkim Gustawa Lutkiewicza w roli radomskiego adwokata oraz Barbarę Krafftównę jako Kamilę. W sumie była to doskonała, bezpretensjonalna zabawa w świetnym wykonaniu.

Za dobrą rozrywkę uznać można również ostatnią „Kobro”. Zobaczyliśmy widowisza A. i W. Roos pt.: „Annabella”. Autorzy pokazali w tym widowisku rzetelne rzemiosło. Potrafili nadać — wątlukiej pozornie — fabule wszystkie cechy dobrego widowiska sensacyjnego.

N A zakończenie chciałbym omówić jeszcze jedną pozycję, która zasługiwała na uwagę. Chodzi mi o sztukę Ernsta Töllera pt.: „Wyzwolenie Wotana”. Autor jest niewątpliwie postacią interesującą i tragiczną. Był on przedstawicielem tego kierunku artystycznego, który znalazł w Niemczech najwybitniejszego kontynuatora w osobie Bertolda Brechta. W sensie artystycznym daleko jednak Töllerowi do Brechta. W jego sztukach razi współczesnego widza egzaltacja i patos, rażą sformułowania żywcem przypominające gromkie slogany. Niemniej jednak „Wyzwolenie Wotana” ma pewien walor, któ-

ry z nawiązką wyrównuje braki formalne. Treścią sztuki są przygody pewnego skromnego fryzjera, który postanawia zostać wodzem. Jego credo polityczne jest nader proste: pogarda dla kultury, kult siły i żelaznej dyscypliny. Wotan zamierza emigrować do Ameryki Południowej i tam stworzyć nowe społeczeństwo, oparte na prymitywnych dogmatach megalomańskiego fryzjera. Nie jest to potrzebne. Znajduje bowiem liczne zastępy fanatycznych zwolenników na miejscu, w Niemczech. W ten sposób skromny fryzjer przeradza się w führera...

I na tym właśnie polega znaczenie sztuki. Napisał ją bowiem Töller w roku 1923, a więc w okresie, kiedy przyszły, tym razem autentyczny führer, był jeszcze krzykliwym, prowincjonalnym demagogiem, bardziej śmiesznym niż groźnym, wywrzaskującym swój program polityczny w monachijskich piwiarniach. Töller ze zdumiewającą polityczną intuicją przepowiedział przyszłość Niemiec. Jego wizja sprawdziła się — niestety — z straszliwą nawiązką.

Töller był nie tylko popularnym w latach dwudziestych pisarzem, lecz również wybitnym działaczem politycznym, więzionym w okresie republiki weimarskiej. W roku 1933 emigrował. W sześć lat później popełnił samobójstwo.

Inscenizację „Wyzwolenia Wotana” przygotował katowicki Teatr TV. Sztuka została bardzo sprawnie poprowadzona na reżysersko (przez J. Wyszomirskiego). Rola Wotana znalazła dobrego odtwórcę w osobie S. Brudnego.